

ENCELADUS



MAKS DIETER

Tekst © Copyright by Paweł Krzysztof Polusik

Wydawca © Copyright by Paweł Krzysztof Polusik

ISBN 978-83-960458-0-5

Spis treści

PROLOG.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział I : URANOS.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział II :REKA BOGA	Error! Bookmark not defined.
Rozdział III: SYGNAŁ	Error! Bookmark not defined.
Rozdział IV: ELLIE	Error! Bookmark not defined.
Rozdział V: PRZEBUDZENIE	Error! Bookmark not defined.
Rozdział VI: JĄDRO TAJEMNICY	Error! Bookmark not defined.
defined.	
Rozdział VII: PERSEUSZ	Error! Bookmark not defined.
Rozdział VIII: JOTUNHEIM...	Error! Bookmark not defined.
Rozdział IX: GHARIB.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział X: POD LODEM	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XI: UL.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XII: OKTAEDR.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XIII: KRÓLOWA	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XIV: AHA-KHA-PTAH (GENESIS).....	Error!
Bookmark not defined.	
Rozdział XV: NEMESIS. OPOWIEŚĆ PRA-MATKI....	Error!
Bookmark not defined.	
Rozdział XVI: ELIZJUM.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XVII: TECHNOLOGIA BOGÓW	Error! Bookmark
not defined.	
Rozdział XVIII: KOMNATA SPRZEŻENIA	Error!
Bookmark not defined.	
Rozdział XIX: IZYDA.....	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XX: OKTA-NISHIO.	Error! Bookmark not defined.
Rozdział XXI: SUPER-ELLIE	Error! Bookmark not defined.

Rozdział XXII: NIEBIESKIE OKO **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXIII: W POTRZASKU **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXIV: POWRÓT NA URANOSA **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXV: MARTWY STATEK ... **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXVI: HORUS.....**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXVII: BŁĘKITNA PLANETA...**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXVIII: PRZEMIANA **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXIX: GIZA.....**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXX: CZAS PRZEZNACZENIA. **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXI: SET**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXII: OZYRYS**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXIII: WALKA O WSZYSTKO **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXIV: OSTATECZNA ROZGRYWKA **Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXV: POŻEGNANIE (PTAH) ..**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXVI: FLORYDA.**Error! Bookmark not defined.**

Rozdział XXXVII: AHA-KHA-PTAH – NOWA ERA .. **Error! Bookmark not defined.**

EPILOG**Error! Bookmark not defined.**

Wybrane fragmenty

„Nagle wyczuła czyjąś obecność. Wyrwana z rozmyślań powróciła do rzeczywistości i zdała sobie sprawę, że jest w holodecku i nie może być tutaj nikogo oprócz niej. Gdyby ktoś wchodził, zobaczyłaby go, bo wejście było mniej więcej tam gdzie przed chwilą zaszło Słońce. Poza tym Ellie musiałaby ją poinformować, że ktoś chce wejść. Mimo to wyraźnie czuła, że jest tutaj jeszcze ktoś. Odwróciła się raptownie, ale nie było tam nic oprócz trawy na łące i wody w rzece. Przyszło jej na myśl, że może coś się zepsuło w

programie holodecku i stąd to uczucie, ale już po chwili ta myśl wydała jej się absurdalna. Przecież to było tylko uczucie, nic, tylko głupie uczucie. Mimo to narastało, aż w pewnym momencie poczuła strach. Odwróciła się i ujrzała przed sobą postać. Stała nie dalej niż półtora metra od niej. Teraz przeraziła się na serio. Mogłaby pomyśleć, że to awaria holodecku, gdyby nie paraliżujące uczucie, które mówiło jej, że tutaj rzeczywiście ktoś stoi. Postać była słabo oświetlona, ale wyraźnie widziała kobietę w kwiecie wieku, ubraną w niezwykłą złotą suknię wieczorową, ale z elementami, które знаła tylko z opowiadań o starożytnym Egipcie. Miała długie, czarne, lśniące włosy, a na głowie opaskę z tajemniczymi symbolami. Najbardziej wyróżniał się ten nad czołem. Przypominał symbol władzy, noszony przez egipskich faraonów. Oczy kobiety były ciemne i patrzyły przenikliwie. Było w nich coś niezwykłego, coś nieludzkiego... Gdy Katrina zebrała się w sobie i już miała krzyknąć do Ellie, co to wszystko znaczy, postać przemówiła:

– Nie smuć się i nie lękaj. Zobaczysz jeszcze swoich bliskich. Przyjdź do mnie i wszystko zrozumiesz – kobieta mówiła, lecz jej usta pozostawały zamknięte, co budziło w Katrinie jeszcze większy lęk.

– Kim jesteś i jak się tu dostałaś...? To jakiś test

programu? Ellie? Co to ma znaczyć?

Jednak zamiast Ellie znowu przemówiła tajemnicza kobieta:

– Teraz nie jest pora na zadawanie pytań. Przyjdź do mnie i wszystko stanie się jasne.

– Ale...– zanim Katrina zadała kolejne pytanie, postać odwróciła się i odeszła. Zniknęła wraz z krajobrazem z rodzinnych stron. W jego miejscu pojawiła się olbrzymia, lśniąca niezwykle jasno tarcza księżyca, w której od razu rozpoznała Enceladusa. Postać unosiła się w przestrzeni kosmicznej przed satelitą. Katrinie zapało dech w piersiach. Usłyszała jeszcze raz głos kobiety, który mówił: „Przyjdź do mnie”, po czym wszystko zniknęło. Stała w pustej, jasno oświetlonej hali holodecku.

– Program przerwano z powodu nieznanego błędu. Czy mam kontynuować? – Usłyszała znajomy głos Ellie. Dojście do siebie zajęło jej kilka sekund.

– Nie Ellie. Na dziś kończymy – zdołała jakoś odpowiedzieć i oszołomiona ruszyła w stronę wyjścia. Dotarła do swojej kajuty, ale gdyby ktoś spytał, jak jej się to udało, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Leżała w łóżku nie mogąc zasnąć. Myślała o dziwnym zdarzeniu w holodecku. W końcu zapadła w płytki, niespokojny sen.”

**

„– Wejść – zezwolił kapitan.

W drzwiach pojawił się Nishio. Znali się wiele lat, ale nie trzeba było długiej znajomości, żeby wyczytać z jego twarzy niepokój. Była to dziwna rzecz, zważywszy, że pierwszy oficer był człowiekiem niezwykle opanowanym i bardzo rzadko okazywał emocje.

– Kapitanie. Chyba coś odkryłem... – w jego głosie słychać było przejęcie. Mark wstał z fotela i uważnie spojrzał na swojego przyjaciela. – Przez cały dzień sprawdzałem możliwe przyczyny zaburzeń w pracy systemu Ellie i chyba coś znalazłem...

– Zamieniam się w słuch.

– Przeanalizowałem kilka razy wszelkie czynniki mające wpływ na pracę systemu, ale nic nie mogłem tam znaleźć. W końcu, razem z inżynierem, zaczęliśmy przeglądać raporty z sygnałów wysyłanych z Ziemi od początku wyprawy, w nadziei, że uda się zlokalizować ewentualną przyczynę anomalii i źródło wirusa z zewnątrz. Rzeczywiście, znaleźliśmy pewien sygnał, który miał i nadal ma wpływ na pracę Ellie. Rzecz tylko w tym, że nie pochodzi z Ziemi, ani z żadnego innego statku czy bazy.

– W takim razie skąd na litość boską...?

– Z Enceladusa.”

**

„– *Inżynierze McLoyd?* – od ścian maszynowni odbił się łagodny głos Ellie.

Drgnął, po czym znieruchomiał.

– Tak, Ellie...? – odpowiedział niepewnie po chwili.

– *Mogę znać cel, w jakim przybył pan do maszynowni?*

Inżynier poczuł lodowaty dreszcz na karku. Podświadomość perswadowała, że ma do czynienia z żywą, rozumną istotą. Było to dość częste zjawisko odkąd sztuczna inteligencja stała się powszechna, szczególnie w środowisku programistów i inżynierów komputerowych. Uczucie to spotęgowało się wraz ze świadomością, że miał zamiar pozbawić Ellie władzy nad statkiem, a może nawet wyłączyć ją. Całkowicie. Czyli, w jej rozumieniu, po prostu zabić. Inżynier nie wiedział, czy Ellie uznaje siebie za żywą istotę, ale wiedział, że każda żywa istota broni się przed śmiercią na wszelkie możliwe sposoby.

Ellie miała tych sposobów pod dostatkiem.

W tej chwili McLoyd czuł się, jakby brał udział w

buncie przeciw kapitanowi. Zapewne uciekłby z maszynowni, gdyby wiedział, że świadomość Ellie rozwinęła się na tyle, aby zafundować załodze karę w stylu kapitana „Latającego Holendra”.

– Muszę wprowadzić pewne korekty dotyczące lotu – wymyślił na poczekaniu. Nic innego nie przyszło mu do głowy. Jednak nawet jemu samemu ta odpowiedź wydała się nieszczerą i naciągana. Miał wrażenie, że stoi przed dyrektorem szkoły, który przyłapał go na paleniu papierosów. Sytuacja była dość groteskowa, ale inżynierowi w tym momencie nie było do śmiechu.

– *Wprowadzę je sama. Wystarczy podać dane.*

Przez moment wydawało mu się, że wyczuł nacisk w głosie Ellie. Mimo to nie zwolnił kroku. Tuż przed wejściem do centrali procesora, automatyczne drzwi zamknęły się. W tej samej chwili z lewej strony, w bocznej ścianie otworzył się schowek i wypełzło z niego cielsko robota naprawczego na sześciu nogach, do złudzenia przypominające przerośniętego kraba. Stalowe szczypcy robota uniosły się i rozwarły, po czym krab-gigant ruszył w kierunku oszołomionego McLoyda.”

**

„W pewnej chwili obraz zaczął zanikać, wyginać się, śnieżyć. Postanowił spytać Ellie, co się dzieje, gdy na ekranie pojawiła się twarz kobiety prześlicznej urody. Wstrząs, jaki wywołał ten widok sprawił, że zaparło mu dech w piersi. Patrzył w tę twarz, w te niesamowite czarne oczy i nie potrafił odwrócić od niej wzroku. Czuł się jak zahipnotyzowany. Ta twarz była najśliczniejszą, jaką widział w życiu, ale skąd się tam u licha wzięła...? W pewnej chwili usłyszał głos w swojej głowie, który mówił: „Komandorze, wiem, że chcesz poznać prawdę o samym sobie. Przyjdź do mnie, a wszystko zrozumiesz”. Powtórzyła jeszcze trzy razy „Przyjdź do mnie”, po czym obraz zniknął.

Pierwszy oficer po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że traci kontrolę nad swoimi zmysłami. To uczucie śmiertelnie go przeraziło. Tylko wyjątkowa umiejętność panowania nad sobą sprawiła, że nie wybiegł z mostka z krzykiem. To, co zobaczył, wymykało się wszelkim racjonalnym wyjaśnieniom. Próbował sobie to jeszcze jakoś przetłumaczyć, ale bez powodzenia. Może to Ellie? Ale przecież jej wizerunek nie ukazywał się nigdy wcześniej. Może to jakaś zagrywka z jej strony, jakiś eksperyment? Może w swej inteligencji stworzyła swój wizualny awatar? Pewnie uczepiłby się tej myśli jak tonący brzytwy, ale przecucie

mówiło mu, że to nie jest komputer. Nagle poczuł się zagubiony, jakby oderwany od zmysłów. Taka sytuacja była mu całkowicie obca. Nie był przyzwyczajony do czegoś z czym jego umysł nie może sobie poradzić. Gdyby porozmawiał z kapitanem lub z doktor Katriną, wiedziałby, że to, co widział, mogło być prawdziwe. Jednak w tej chwili był całkowicie zdezorientowany. Poczucie tego, co jest prawdziwe, a co nie, stało się odległe i nierealne.”

**

„Mark stwierdził, że ma dość wrażeń tego dnia i poszedł prosto do swojej kajuty, w nadziei, że prześpi spokojnie całą noc. Nie zmrużył jednak oka, mimo, że przed spaniem wypił lampkę wina, swoją drogą wyjątkowo luksusowego, nawet jak na taką misję. Czasami zastanawiał się, czy te wszystkie luksusy nie mają być dla nich swoistym zadośćuczynieniem. Czymś w rodzaju ostatniego, wspaniałego posiłku skazańca. Wszyscy na pokładzie czuli, a raczej wiedzieli podświadomie, że to wyjątkowa misja, być może dużo bardziej niebezpieczna niż dotychczasowe.

Być może ich ostatnia.

Całe zamieszanie z utajnieniem projektu, olbrzymie

środki przeznaczone na przygotowanie i ten tajemniczy pośpiech – wszystko było bezprecedensowe, nawet jak na tak daleką wyprawę kosmiczną. Jednak nikt, nawet on ze swoją podejrzliwością wobec sztucznej inteligencji, nie przewidział tego, co stało się z Ellie. Do poprzedniego dnia była zagrożeniem, ale rozpatrywanym trochę pod kątem ciekawości naukowej. Zagrożenie istniało, ale wciąż teoretyczne. Nikt nie dopuszczał myśli, że rzeczywiście może dojść do czegoś gorszego. Nawet po batalii inżyniera z robotem naprawczym.

Teraz zginęli ludzie.

Sytuacja zrobiła się naprawdę poważna, a on, jako kapitan, musiał coś na to poradzić. I to natychmiast.

Miał plan, który wstępnie opracował, i z tego był zadowolony. Zawsze jakiś postęp. Dotychczasowa bezsilność przytłaczała go i frustrowała. Z tym większą determinacją postanowił wprowadzić plan w życie. Oby udało im się bezpiecznie wylądować na Enceladusie, a potem... Może uda im się dostać do środka satelity? Tam, skąd pochodził ten piekielny sygnał...

Myśli zaczęły mu się zlewać. Wino nie ukoilo jego nerwów, spotęgowało tylko natłok myśli. Postanowił się położyć. Czuł się tak zmęczony, jakby przepracował cały dzień w kamieniołomie. Bił się z myślami do późna w nocy,

przewracając się z boku na bok. Złapał się na tym, że jego myśli mimowolnie szybują w stronę pani astrobiolog. Na razie nie przyznawał się przed samym sobą, ale zaczęła się w nim tlić mała iskierka uczucia do tej niepokornej, drobnej dziewczyny. Szybko porzucił te myśli, zanim jeszcze uświadomił sobie w pełni, dokąd podążają. Uczucie, choćby najslabsze, było mu teraz potrzebne jak drzwi do lasu. Z pewnością przytłumiłoby zdolność oceny sytuacji.

Około północy myślami powrócił do komputera pokładowego, ale zaczął powoli zapadać w sen. Na granicy jawy i snu zobaczył wnętrze Enceladusa. Nie był do końca pewien czy to sen, jawa czy po prostu wyobraźnia. Widział przecinające się linie i figury geometryczne. Przypominało to bardziej schemat jakiejś maszyny, niż właściwe wnętrze satelity.

Nagle jego świadomość kazała mu się ocknąć.

Zerwał się na równe nogi. Nie mógł uwierzyć, że dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Wskoczył z łóżka, ubrał się naprędce i wybiegł jak opętany z kajuty. Był pewien, że wpadł na trop rozwiązania choroby psychicznej Ellie i jednocześnie tajemnicy Enceladusa.”

**

„– Co z rezerwą i paliwem przeznaczonym na powrót?
– spytał kapitan.

– Właściwie wystarczy, ale nie będziemy mieli jak wrócić.

– Coraz lepiej... – wtrącił Mortensen. Kapitan doszedł do wniosku, że nie zdoła polubić tego typu.

– Nie mamy wyjścia. Potem będziemy się martwić o powrót. – Tym razem nikt się nie odezwał. Mark cieszył się że przynajmniej uda im się dolecieć na biegun północny. Jego radość skończyła się jednak niecałe pięć minut później; lądownikiem szarpnął potężny wstrząs, w tej samej chwili włączyły się wszystkie możliwe alarmy. Mrugające, czerwone światło zalało wnętrze lądownika, doprowadzając naukowców prawie do paniki. W oknach dachowych, zamiast Saturna widzieli teraz powierzchnie księżyca, co oznaczało, że lecą do góry nogami.

– Nishio! Co się dzieje?! – krzyknął kapitan.

– Wygląda na to że uderzył w nas strumień gejzera! – odpowiedział Nishio sprawdzając naprędce wszystkie parametry lądownika. Ogłuszający sygnał alarmu sprawiał że ledwie się słyszeli. – Musimy lądować!

– Dobra, posadź lądownik!

– Kapitanie.... Mamy kolejny problem – odezwał się po chwili Nishio. Usłyszeli zduszony jęk przerażonych naukowców. – Perseusz nie wylądował automatycznie. Nie znajduje dogodnego miejsca do lądowania, poza tym czujniki są uszkodzone i automatyczny pilot nie chce się włączyć.

– Lądujemy ręcznie! – kapitan wydał natychmiastowe polecenie.

– Nie będzie wyjścia – odparł Nishio. – Problem w tym, że dawno tego nie robiłem. A właściwie nigdy w takich warunkach.

– Dasz radę. Wierzę w ciebie przyjacielu – mówiąc to położył rękę na ramieniu Nishio, aby dodać mu otuchy.

– Ostatni raz lądowałem ręcznie na symulatorze w akademii, ale zrobię, co będę mógł – odpowiedział Nishio, po czym wyłączył procedurę automatycznego lądowania i przejął stery. Najpierw spróbował przywrócić lądownik do właściwej pozycji. Gdy mu się to udało, rozpaczliwie szukał najbardziej dogodnego miejsca do lądowania. Zadanie nie było łatwe, znaleźli się na obszarze o wzmożonej aktywności gejzerów. W ostatniej chwili wypatrzył spory kawałek płaskiego, równego terenu pomiędzy dwiema szczelinami, które zapewne też kiedyś były gejzerami. Kilka sekund później nie zdołałby już ustabilizować lotu, co groziło niechybnym zderzeniem z

powierzchnią. Włączył silniki hamujące, aby wytracić prędkość. Następnie przez kilkanaście sekund korygował lot silnikami manewrowymi, by ustawić lądownik prostopadle do powierzchni księżyca. Nie wychodziło to jednak za dobrze. Nishio klął teraz w duchu na organizatorów wyprawy za to, że zaniechali szkoleń na symulatorach. Takie kursy były organizowane przed każdą wyprawą na nowo eksplorowane ciało niebieskie na wypadek, gdyby automatyka lądownika zawiodła. Pośpiech obecnej misji zmusił zarząd NASA do zaniechania wszelkich szkoleń. Nishio znał te maszyny, ale nigdy jeszcze nie musiał lądować ręcznie, a ostatni kurs odbył prawie trzy lata temu. Wszystko zależało teraz od jego intuicji i talentu, a także tego jak wiele jeszcze pamiętał. Nie myślał jednak o tym. Emocje tylko pogorszyłyby sprawę. Wyczyścił umysł i skupił się jedynie na poprawnym wykonaniu zadania. Trzymał kurczowo ster i balansował tak, aby utrzymać maszynę w płaszczyźnie do powierzchni. Zadanie utrudniał dodatkowo fakt, że lądownik cały czas leciał pod zbyt ostrym kątem, mimo pełnej mocy silników hamujących. Ostatecznie, tuż nad samą powierzchnią, udało mu się zmienić przechył lądownika tak, że powierzchnia znalazła się pod nimi, ale byli już zbyt nisko, zderzenie było nieuniknione. Szczęściem, kąt nachylenia lądownika był na tyle łagodny, że zamiast zderzyć

się z powierzchnią, wrył się w nią dziobem i orał lodową skorupę przez kilkaset metrów, niczym gigantyczny pług wzbijając tumany śniegu i lodu. Kapitan, Nishio i reszta załogi zegnali się z życiem, gdy potworny huk i wstrząsy zagłuszały nawet ich myśli. Zdążyli jeszcze założyć hełmy, które wysuwały się błyskawicznie z tylnej części skafandra, później wszystko ucichło, a w kabinie zapanowała ciemność.”

**

„Wjazd windy do wnętrza kopuły odbył się płynnie i bezszelestnie. Gdy mijali powierzchnię dachu, sufit windy został w miejscu, gdzie pojawił się wlot, zatykając go tym samym. Mark zastanawiał się, jakim cudem woda nie wlała się do środka i doszedł do wniosku, że musiał to być rodzaj śluzu, która zapobiegała takiemu scenariuszowi poprzez pole siłowe. Pozostała część windy opadła wolno do wnętrza i tam zakończyła swój niezwykły zjazd. Dolna część wpasowała się w trójkątny otwór w podłodze pomieszczenia, w którym się znaleźli, zaś ścianki wsunęły się w szczeliny. Tym sposobem znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu. Była to sporych rozmiarów hala stylistyką przywodząca na myśl jakiś supernowoczesny terminal lotniskowy, której dach i

jednocześnie ściany stanowiła wewnętrzna część kopuły. Sześciokątne kafle, które ją tworzyły, okazały się wykonane z przezroczystego materiału, którym mogło być szkło, lub inny materiał, którego ludzkość jeszcze nie знаła. Dość, że widzieli przez dach kopuły ocean, a w nim pływające stworzenia i olbrzymie wodorosty.

– Cudowne – powiedziała Lena, z zachwytem patrząc na dach. Starła się mówić ściszym głosem, jakby pod podłogą czaiło się coś, czemu nie wolno było zdradzić swojej obecności. Mimo to jej głos odbił się echem w hali:

– Ktoś, kto to zbudował, nie mógł być zły – dodała po chwili z namysłem.

Po kilku krokach przekonali się, że ich ciała już nie są tak lekkie, jak na powierzchni. Nishio sprawdził wartość przyciągania grawitacyjnego – było identyczne z ziemskim. To oznaczało, że mogą wyłączyć adaptację grawitacyjną w butach. Wartości parametrów życiowych również tutaj były idealne. Rozeszli się po hali, oceniając jej ogrom. Każdy krok wywoływał świetliste, jasnozielone fale pod butami, zupełnie jakby chodzili po powierzchni czarodziejskiego stawu. Marines, tym razem obydwaj, trzymali broń w gotowości na wypadek, gdyby przypadkiem nagle z jakiegoś otworu w podłodze wyskoczyły zielone ludziki z nie do końca

przyjaznymi zamiarami. Nic takiego nie nastąpiło i kapitan gestem ręki polecił im opuścić broń. Nakazał im czujność, ale zarazem zimną krew. Trzej naukowcy wgapiali się w półkolisty sufit, niczym dzieci podczas pokazu sztucznych ogni. Kapitan i komandor pozostali czujni i przezorni, przypominając pod tym względem marines. Jednak spokój i harmonia tego miejsca wydawały się niczym nieskażone. Nie zauważyli żadnych oznak życia oprócz tych na zewnątrz kopuły. Oprócz tajemniczego bzyczenia, dającego wrażenie, że pod podłogą lata stado tłustych much, panowała kompletna cisza. „Pszczeli” stelaż kopuły emitował światło także do wewnątrz, spowijając wszystko zielonkawą poświatą; potęgowało to wrażenie łagodności tego miejsca.

– Wyślij szperacze na zwiad – polecił Mark zastępcy. Ten nacisnął przycisk na nogawce prawej nogi i wyjął z otworu dwie metalowe kulki. Wcisnął w każdej z nich przycisk, po czym rzucił je przed siebie. Zanim kulki opadły na podłogę, rozwinęły po dwie pary niezwykle długich i giętkich odnóży. Przypominały pająki na nienaturalnie długich nogach. Natychmiast rozpoczęły skanowanie wnętrza kopuły. Wiązki laserowe ślizgały się po wszystkim, na co się natknęły, przekazując dane wprost do monitora w skafandrze porucznika. Używano ich zawsze podczas ekspedycji, gdy trzeba było

zbadać nieznaną teren. Nishio lubił roboty nazywane potocznie szperaczami, bo działały szybko i oszczędzały mnóstwo czasu i pracy.

Jeden z robotów po kilku minutach krążenia po hali zatrzymał się obok jednego z kafelków przy podłodze, która nie była przezroczysta, jak wszystkie inne, lecz całkowicie biała. Najwyraźniej robota bardzo zaniepokoił ten wyróżniający się panel.

– Kapitanie, jeden ze szperaczy wykrył pustą przestrzeń za tamtym panelem – powiadomił Nishio, spoglądając na obraz skanu, który pokazał się na monitorze w rękawie skafandra.

Kapitan, Nishio i żołnierze, którym kapitan nakazał gestem ręki, aby poszli z nimi, ruszyli w tamtym kierunku, zostawiając zafascynowanych naukowców za sobą. Zanim jednak dotarli na miejsce, okazało się, że drugi ze szperaczy odkrył następny nietypowy panel na prawo od pierwszego, również w białym kolorze. Postanowili sprawdzić pierwszy z odkrytych sześciokątów. Na miejscu zauważyli, że robot skupił się szczególnie na jednym obszarze na powierzchni panelu. Cały panel podzielony był na sześć równych, trójkątnych części – szperacz badał część z prawej strony. Markowi przypominał charta, który zdybał bażanta w zaroślach. Nishio spojrział na obraz skanu na monitorze; pokazywał kształt

ludzkiej dłoni. Komandor wysunął powoli rękę w kierunku miejsca, w którym skan pokazał wewnętrzną strukturę. Gdy dotknął palcami powierzchni, panel trójkąta rozsunął się na trzy strony, ukazując odcisk. Szperacz próbował wepchnąć swój metalowy, okrągły łeb do wnęki, aby ją zeskanować, ale Nishio uznał to za zły pomysł i odsunął go ręką. Spojrzał na kapitana.

– Czyń honory – powiedział Mark, wskazując dłonią na wnękę. – Chyba masz już wprawę.

Nishio skinął głową i zbliżył rękę do trójkątnej wnęki na śnieżnobiałej ścianie panelu. Gdy jego dłoń znalazła się w pasującym miejscu, powtórzył się schemat, który obserwowali na górze; odcisk zapulsował kilka razy, po czym po ich prawej stronie otworzyło się przejście, również w kształcie trójkąta. Szperacze, wykrywszy nową przestrzeń, ruszyły błyskawicznie na zwiad. Zajrzeli do środka. Był tam tunel, długości niecałych trzystu metrów, na którego końcu zatrzymały się roboty.”

**

„– Ile czasu zostało Ziemi? – spytał głucho Jacobson.

– Około dwudziestu godzin do całkowitego zniszczenia.

W komnacie zapadła cisza. Obraz wiatru słonecznego

zmierzającego w kierunku Ziemi był ostatnią rzeczą, jaką ujrzeli nad głowami. Potem ściany i sufit powróciły na swoje miejsce. Mark uświadomił sobie, że za kilkanaście godzin mogą być ostatnimi przedstawicielami gatunku ludzkiego. Ich bliscy zginą, a oni nie mogą się z nimi nawet pożegnać. Ich cywilizacja, ich dom, przestanie nagle istnieć. Ta wizja wydawała się jednocześnie niemożliwa i przerażająco realna. Nie będzie już świata który znali. Nie zobaczą już rzeczy które widzieli przed wylotem. Nie zdawał sobie do tej pory sprawy i przypuszczał, że żadne z nich, jak cenna jest dla nich Ziemia i wszystko, co na niej żyje. Aż do chwili, gdy stanęli przed wizją zniszczenia świata.

Przez jego głowę przetaczała się istna burza. Nie przywykł do sytuacji, w której nie może działać. W ciągu kilkunastu lat wykonywania misji w kosmosie zawsze znajdował wyjście z każdej, choćby najbardziej beznadziejnej sytuacji. Nie mieściło mu się w głowie, że może znaleźć się w fatalnym położeniu, bez możliwości jakiegokolwiek działania. Jednak wszystko wskazywało na to, że właśnie znalazł się w takiej sytuacji.

Mimo iż logika mówiła mu, że choćby nie wiadomo, co zrobił, i tak nie zmieni obecnego stanu rzeczy, jego umysł nie przyjmował do wiadomości faktu, że to koniec. Koniec ich

planety i koniec ich starego życia. Został skazany wraz z załogą na uwięzienie w tym miejscu i ani on, ani nikt inny, nie może nic na to poradzić.

Jednak wbrew temu, co sam sobie tłumaczył, jego umysł nadal szukał wyjścia. I nagle – choć wydawało się to nieprawdopodobne – wpadł na coś. Sam dobrze nie wiedział, co to takiego; był to jedynie zarys, szkic oparty na jakimś fakcie, który zaobserwował. Myśl z wolna nabierała realnych kształtów, aż w końcu w jego oczach pojawił się wyraz twardej determinacji. Nagle podjął decyzję i miał zamiar trzymać się jej za wszelką ceną.

Spojrzał na królową i powiedział zdecydowanym głosem:

– Dobrze więc, skoro tak musi być, niech tak będzie – wszyscy spojrzeli na kapitana i rozpacz chwilowo ustąpiła zdumieniu. – Jeśli nie możemy nic poradzić na nasz los, trzeba się będzie z nim pogodzić.

Królowa, słysząc taką deklarację z ust samego kapitana, zrobiła grymas, który mógł być uśmiechem. Nishio jednak dostrzegł w oczach Marka ten sam wyraz, jaki miał w momencie pozornej akceptacji poczynań Ellie. Był niemal pewien, że kapitan szykuje jakiś podstęp.

I nie mylił się.”

**

„Zajęli niepewnie miejsca za stołem. Widok z prawej strony, w miejscu, w którym kończył się las, ukazywał panoramę pięknej lesistej doliny, za którą majaczyły ośnieżone górskie szczyty. „Niczym Elizjum” – pomyślał Mark. Można było odnieść wrażenie, że są na pikniku w krainie marzeń. Czy to wszystko po to, żeby łatwiej im było zapomnieć, dlaczego znaleźli w tym miejscu? Doszedł do wniosku, że to bardzo możliwe. Ale zauważył też, że królowa jest ciekawa ich reakcji; obserwuje ich niczym naukowiec badający szczury w laboratorium, serwując im kolejno bodźce stymulujące. Przeszło mu nawet przez głowę, że opowieść o zniszczeniu Ziemi mogła być nieprawdziwa i królowa wymyśliła ją tylko po to, żeby sprawdzać jak zareagują. Odrzucił jednak tę myśl; królowa była istotą pozaziemską, lecz nie różniła się aż tak bardzo od ludzi i nawet, jako hologram, przejawiała bardzo skąpe – ale jednak – uczucia. Na tej podstawie wywnioskował, że nie kłamała, przynajmniej co do zagrożenia dla planety. Zresztą, nawet jeśli tak było, to i tak nie mógł na tej podstawie zaniechać próby wdrożenia planu, który mógł cokolwiek zmienić, jeśli apokalipsa na Ziemi okazałaby się prawdą.

Królowa usiadła między ławkami, na stylowo rzeźbionym, dębowym krześle. Zerknęła przelotnie na twarze swoich „gości”, po czym wskazała na suto zastawiony stół:

– Proszę, częstujcie się. To wszystko dla was. Z pewnością jesteście głodni – powiedziała łagodnym tonem, a na jej twarzy, po raz pierwszy, odkąd ją ujrzeli, zagościł prawdziwy uśmiech.

Woń potraw była tak aromatyczna i kusząca, że ciężko było przyjąć do wiadomości, iż to tylko iluzja. Jednak ich żołądki nagle zaczęły się domagać pożywienia. Siła, z jaką zaatakował głód, była dużo większa, niż mogliby się tego spodziewać. Mark miał wielką chęć złapać kawał jeszcze ciepłego mięsiwa i pochłonąć je w całości za jednym razem. Ile to godzin upłynęło od śniadania? Dziesięć? Może więcej... w tym miejscu, po tym, co przeszli, ciężko było określić upływ czasu. Spojrzał kątem oka na wyświetlacz na rękawie; stwierdził ze zdumieniem, że cyfrowy zegar pokazuje same zera; albo właśnie skończyła się doba – co oznaczałoby, że od wylądowania minęło ponad osiem godzin – albo odmierzenie czasu zostało zresetowane w tym miejscu...

– Jak bardzo to jest prawdziwe? – spytał Jacobson, patrząc łakomym wzrokiem na specjały.

– Spróbuj, to się przekonasz – odpowiedziała królowa.

Mimo głodu, jaki wywołał widok i zapach jedzenia, ani astrogeolog, ani pozostała trójka nie zdobyła się na to, żeby sięgnąć po choćby mały kąsek. Mark podejrzewał, że mieli nadal w pamięci obraz tragicznej śmierci astrofizyka, co powinno im skutecznie odebrać apetyt, mimo głodu. Kolejną rzeczą, która zapewne powstrzymywała ich przed jedzeniem, była niepewność, czym tak naprawdę jest ta żywność. Wszystko wyglądało nad wyraz apetycznie i kusząco, ale czy na pewno nadawało się do jedzenia? Może to jakiś podstęp królowej, aby ich podtruc? Lub podać za pośrednictwem jedzenia narkotyk, który sprawi, że będą łagodni jak baranki i z radością zaakceptują nową rzeczywistość, w jakiej przyjdzie im żyć? Może tak, może nie, ale nie zmieniało to faktu, że prędzej czy później będą musieli coś zjeść, żeby nie umrzeć z głodu. Tymczasem najważniejszy był plan, który należało jak najszybciej wdrożyć. Nie tracąc więcej czasu, Mark przeszedł do działania.”

**

„Po około kwadransie spaceru, w czasie którego zwiedzili drugą, bliźniaczą część oktaedru, stanęli przed wrotami do Komnaty Sprzężenia. Podczas drogi szybko

przekonali się, że, podobnie jak Komnata Teleportacji, reszta tej części jest bliźniaczo podobna do poprzedniej. Różnicą była jedynie feeria barw, w której dominował karmazyn, nadając tym samym złowrogi wygląd korytarzom.

Dopiero Komnata Sprzężenia okazała się być całkowicie odmienna od swego odpowiednika, czyli Komnaty Królowej. Po tym, jak masywne, kryształowe wrota podniosły się w górę z niebywałą lekkością, ujrzeli pomieszczenie, które Komnatę Królowej przypominało jedynie kształtem. Było tutaj dużo więcej światła, emitowanego przez ściany, wykonane z materiału, który mógł być kryształem. Jego barwa zmieniała się w cyklicznej konfiguracji przechodząc stopniowo od turkus, poprzez błękit i fiolet, aż do czerwieni i karmazynu, zalewając pomieszczenie coraz to inną, kolorową falą światła. Podłoga wyglądała na wykonaną z tego granitu, lecz Jacobson uważał, że to ten sam materiał, który odkrył podczas poszukiwań wejścia. Zdawała się uginać pod stopami a odcisk buta tutaj również pozostawiał świetlisty ślad.

Największe wrażenie robił jednak sufit. A właściwie jego brak. W miejscu, gdzie powinno być sklepienie, widniało coś, co na pierwszy rzut oka przypominało tafłę rtęci. Niezwykła powierzchnia odbijała obraz jak lustro, gdy była całkiem gładka. Czasem jednak falowała zniekształcając ich

odbicia i tworząc groteskowe karykatury, niczym gabinet luster w wesołym miasteczku. Mieli wrażenie, jakby stali na dnie przedziwnego basenu. To, w jaki sposób ciecz unosiła się nad nimi – pozostawało tajemnicą. Jediną rzeczą, która zakłócała idealną harmonię powierzchni, była centralna część sufitu; w sam jego środek wpadała skupiona wiązka światła, powodująca fale odchodzące od tego punktu w taki sposób, w jaki wzbudza kamień rzucony w wodę. Obiekt, z którego wychodziła ta wiązka, był tym, co tak naprawdę interesowało Marka.

Na samym środku komnaty stał majestatyczny monolit, w pierwszej chwili przywodzący na myśl sarkofag. Właśnie to skojarzenie skupiło całą uwagę Marka na tym obiekcie. Kształtem przypominał mocno spłaszczoną piramidę o prostokątnej podstawie, ze stożkiem przesuniętym na jedną trzecią długości obiektu, którego wielkość wynosiła około dwa metry na metr. Dość ostry kąt nachylenia ścian u podstawy zmieniał się mniej więcej w połowie wysokości na dużo łagodniejszy, co sprawiało wrażenie, że obiekt składa się z dwóch części. Dolna część, czyli cokół obiektu, był wykonany z tego samego, niezwykle gładkiego materiału, z którego powstała większość rzeczy w oktaedrze. Górna część z kolei, emanująca poświatą lazururowej barwy, wyglądała na wykonaną z kwarcu. Po jej powierzchni wędrowały fale światła,

zbiegające się na wierzchołku i strzelające wiązką w górę, aż do sklepienia, gdzie rozpraszaly się po tafli magicznej cieczy. Mark nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to po prostu sarkofag. Kształt obiektu jednoznacznie wskazywał na coś w rodzaju trumny. Gdy znalazł się nieco bliżej, ciemny, podłużny kształt, odznaczający się na tle jasnego emitowanego światła, utwierdził go w przekonaniu, jaki był prawdziwy charakter tego obiektu. Zanim królowa zdążyła się odezwać, był niemal pewien, do czego służył i co, i kto znajdował się w jego wnętrzu.”

**

„Wyszli na korytarz i udali się do tylnej części spirali grawitacyjnej, w której znajdowała się kajuta inżyniera. Gdy byli mniej więcej w połowie drogi, bełkotanie zmieniło się w groźby. Bezladne wyzwiska i wymachiwanie pięścią utwierdziły Olgę w przekonaniu, że inżynier rzeczywiście się upił i trzeba go jak najszybciej położyć. Gdy znaleźli się przy windzie, nagle zaczął się domagać opuszczenia statku. Pacnął ręką w czujnik otwierający drzwi windy. Olga próbowała go powstrzymać, jednak niełatwo utrzymać pijanego faceta. McLoyd, mimo dość wątlej postury, dysponował w tej chwili

zadziwiająco siłą. Z ledwością utrzymała ich w pionie, gdy inżynier wtoczył się do windy.

– Do kadłuba! – krzyknął.

– *Niestety inżynierze, ale nie mogę wykonać polecenia.*

Jest pan pod wpływem alkoholu – spokojny i uprzejmy głos Ellie dał im do zrozumienia, że nigdzie nie pojadą. Spojrzał na Olgę – wtedy zrozumiała, że jego stan to tylko pozory.

– Ellie! Skieruj windę do kadłuba – powiedziała niepewnym głosem, patrząc na McLoyda, który, mimo alkoholu, miał dziwną determinację w głosie.

– *Pani podporucznik! Inżynier jest pod wpływem alkoholu i jego decyzje...*

– Ellie, wykonaj! – krzyknęła, patrząc w niebieskie oko kamery umieszczonej w rogu sufitu windy. Przez moment przestraszyła się własnej reakcji i tego, jak zachowa się Ellie. Nigdy wcześniej nie podejrzewałyby siebie o tak zdecydowaną reakcję. Zdążyła pomyśleć, że ludzie w ekstremalnych sytuacjach reagują w ekstremalny sposób. Lęk przed komputerem został chwilowo stłumiony przez instynkt samozachowawczy nakazujący działać. Upatrywała w tym geny ojca, który był człowiekiem niezwykle odważnym.

Poskutkowało. Ellie już się nie odezwała, za to winda ruszyła i obydwójce odczuli olbrzymią ulgę. Mimo wpływu

alkoholu, po minie inżyniera także było widać satysfakcję. Równie dobrze Ellie mogła ich zatrzasnąć w tej windzie na zawsze. Woląла jednak nie myśleć o takim scenariuszu.

Po kilku minutach dotarli do kadłuba. Po drodze stopniowo rozstawali się z grawitacją i w momencie, gdy właz się otworzył, musieli już płynąć. Inżynier, z porządną dawką alkoholu we krwi, wyglądał w stanie nieważkości na wskroś groteskowo. Olga nie mogła go już utrzymać, sama musiała kontrolować każdy ruch. Stwierdziła jednak, że inżynier radził sobie całkiem dobrze. Wzdłuż korytarza prowadziła drabinka, po której posuwali się, aż dotarli na miejsce. Zewnętrzny właz, prowadzący do schronu, był otwierany automatycznie, jak większość drzwi na pokładzie, jednak wejście wewnętrzne miało całkiem inne zamknięcie. Na wypadek awarii systemu, posiadało od wewnętrznej strony wielką korbę, dokręcaną ręcznie. Mimo wspomagania hydraulicznego, jej zakręcenie w stanie nieważkości nie było rzeczą łatwą, tym bardziej dla inżyniera, który miał w tym momencie lekko zaburzoną koordynację ruchów. Zaczął wykonywać przedziwny taniec, który wyglądał przekomicznie. Olga nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Gdy spojrzała na minę zdziwionego McLoyda, jej śmiech stał się jeszcze głośniejszy. Mimo sytuacji śmiała się głośno i spontanicznie, co nie zdarzyło się

jej od początku wyprawy. Gdy się opanowała, poczuła się dużo lepiej. Właz był szczelnie dokręcony, o czym poinformowała zielona dioda obok korby.

Nagle zachowanie McLoyda uległo zmianie. Zniknęły pozory silnego upojenia alkoholowego, a jego ruchy stały się szybkie i przemyślane, jak u człowieka w pełni gotowego do działania. Jedyne lekki uśmiech zdradzał, że alkohol jednak troszkę działał. Cała reszta jednak była grą, którą Olga dopiero teraz w pełni zrozumiała.

– Czyli udawał pan przez cały czas...? – spytała gdy podpłynął do panelu sterowania awaryjnego.

– Powiedzmy, że mam mocniejszą głowę, niż można by z pozoru sądzić – rzucił przez ramię, nie odwracając wzroku znad pulpitu. Wpisał procedurę restartującą system Ellie. Poczwała ulgę na myśl, że inżynier w pełni panuje nad sytuacją.

Tak przynajmniej obydwójce sądzili.

W pewnej chwili spostrzegła okienko w drzwiach wejściowych, a za nim skierowane wprost na nich, niebieskie oko Ellie w kamerze na korytarzu. Bez ustanku śledziło ich każdy ruch. Nie odrywając wzroku od upiornego niebieskiego punktu, podpłynęła do McLoyda.

– Panie McLoyd... nie wiem czy... – zaczęła zdanie, lecz nie zdążyła dokończyć. W momencie, gdy inżynier

zamierzał nacisnąć ENTER, skończywszy wpisywać procedurę awaryjnego restartu systemu, schronem szarpnął wstrząs. Usłyszeli głuchy trzask gdzieś na zewnątrz. Olga krzyknęła i objęła inżyniera, który z przerażeniem zdał sobie sprawę, co tak właściwie się stało. Rozpoznał szczęk klamr mocujących. Jakby na potwierdzenie jego obaw, w okienku wjazdu ujrzeli oddalające się zewnętrzne drzwi.

Schron został odłączony od statku.”

**

„Katrina siedziała w fotelu pilota w ładowniku i patrzyła na powierzchnię Enceladusa w monitorze, która świeciła jaskrawą bielą, silnie kontrastującą z czarnym tłem kosmosu. Rozmyślała nad tym, co usłyszała od Nishio przez interkom kilka minut temu. Nie zdążył powiedzieć zbyt wiele, ale wyglądało na to, że we wnętrzu satelity doszło do jakichś przedziwnych zdarzeń, których nie umiała pojąć. Siedziała sama już trzynastą godzinę i powoli zaczęła tracić nadzieję, że jeszcze ujrzy załogę. Uranos przestał odpowiadać dwie godziny wcześniej. Postanowiła, że jeśli przez następne trzy godziny nie będzie żadnej wieści od załogi z wnętrza satelity, to wraca sama na Uranosa. Poza tym tlenu starczyłoby już

tylko na trzy i pół godziny. Awaria przy lądowaniu sprawiła, że zepsuło się ogrzewanie. W kabinie panował upał – trzydzieści sześć stopni Celsjusza – więc siedziała ubrana jedynie w bieliznę. Tłumaczyła sobie, że lepszy upał, niż miałyby zamarznąć. Na zewnątrz było minus sto dziewięćdziesiąt stopni, tak więc perspektywa całkowitej awarii ogrzewania nie była miła. Po niespodziewanym kontakcie z Nishio oczekiwała powrotu załogi, choć nie rozumiała, w jaki sposób mieliby się tu znaleźć w ciągu dziesięciu minut. Skaner terenu działał bez zarzutu; w promieniu trzydziestu kilometrów nie pokazywał ruchu, który mógłby świadczyć o zbliżaniu się załogi. Gdyby i ten uległ awarii, to był jeszcze detektor podczerwieni, ale i ten po staremu pokazywał jedynie czerwone plamy w miejscach, gdzie gorąca woda strzelała spod powierzchni lodowej skorupy Enceladusa. I to polecenie, żeby zapłon silników był włączony... Nic z tego nie rozumiała. Jednak włączyła zapłon i, zgodnie z poleceniem, czekała na rozwój wypadków.

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się niezwykle jasno. Katrina siedziała w fotelu pierwszego pilota, jednak blask docierał zza jej pleców. Obejrzała się w panice z myślą, że w tylnej części kabiny wybuchł pożar wywołany jakimś zwarcieniem w instalacji. Było tak gorąco, że ogień mógł się rozprzestrzenić, zanim by go poczuła za plecami. Jednak

detekcja ognia i dymu była sprawna, a żaden alarm się nie łączył. Mimo to miała wrażenie, że zrobiło się jeszcze goręcej. To tym bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że to musi być ogień. Spojrzała za plecy: za tylnymi fotelami, tuż przy włązie, ujrzała jasny obłok turkusowej barwy, z którego zaczęły się wyłaniać się cienie. Zaskoczenie przerodziło się w przerażenie, które rosło z każdą chwilą. Nie miała pojęcia, co to za przedziwne zjawisko. Po paru sekundach cienie nabrały kształtów, a później właściwego wyglądu. Rozpoznała sylwetki ludzkie i jej oczom ukazały się dobrze znane twarze. Przeważenie ponownie ustąpiło miejsca zdumieniu – tym razem dużo silniejszemu. Jasny obłok zniknął. W pomieszczeniu stało troje członków i tajemnicza postać kobiety. Jej zdziwienie sięgnęło zenitu.”

**

„Zbliżająca się burta statku sprawiła, że natychmiast powrócił do rzeczywistości. Do tej pory leciał, poruszając się na wprost, teraz jednak zaczynała się trudniejsza część przeprawy; trzeba było pomanewrować, aby dostać się do górnej części kadłuba, gdzie znajdowało się wejście awaryjne. To z kolei oznaczało dużo większe ryzyko wypadku. Jednak

robił to już setki razy i szło mu całkiem sprawnie. Odpalał raz za razem silniczki, sterując w odpowiednim kierunku i zbliżając się tym samym do celu, jakim była górna część burty, mniej więcej w połowie kadłuba, gdzie powinien znajdować się właz awaryjny. Spirala grawitacyjna stała w górze nieruchomo. Mark stwierdził, że to przygnębiający widok; sprawiał wrażenie, że statek jest martwy. W pewnej chwili uświadomił sobie, że Jacobson powinien się już do niego odezwać. Spytał przez interkom, jak mu idzie, lecz odpowiedziała cisza. Gdy po raz drugi nie było odpowiedzi, zdał sobie sprawę, że sytuacja musi być poważna.

Jacobson, od momentu opuszczenia lądownika, czuł się coraz gorzej. Moment, w którym poczuł zawroty głowy spowodowane lękiem przestrzeni, powinny zapalić czerwoną lampkę w jego umyśle. Jednak astrofizyk zlekceważył symptomy ostrzegawcze, nie dopuszczając, aby strach wziął górę nad nim. Zdawał sobie sprawę, jak poważne zadanie mają do wykonania i to sprawiało, że całą siłą woli zmuszał się do dalszego lotu. Zapewnił kapitana, że da sobie radę, i chciał dotrzymać słowa. Jednak prawda była taka, że nie miał żadnego doświadczenia w spacerach kosmicznych. Powiedział kapitanowi, że wykonał kiedyś godzinny spacer kosmiczny i poszło mu całkiem nieźle, lecz odbył jedynie ćwiczenia w

symulatorze, które dały mierną ocenę. Do misji został dopuszczony jedynie dlatego, że w swojej dziedzinie był wybitnym fachowcem, poza tym nikt nie przypuszczał, że będzie musiał wychodzić poza statek. Chciał być dzielny, lecz niestety lęk, jaki poczuł w pewnej fazie lotu, sprawił, że nie był w stanie zapanować nad sobą. Wcześniej wmawiał sobie, że to nie może się zbyt różnić od symulatora, jednak świadomość otaczającej go przestrzeni przytłoczyła go całkowicie. Gdyby lot miał być kontynuowany w linii prostej, istniała duża szansa, że astrogeolog, pomimo dużych problemów, doleciałby jakoś do burty statku, lecz gdy kapitan zmienił kierunek, panika dopadła go na dobre. Dopóki widział plecy kapitana, udawało mu się powstrzymać atak lęku, rozsypał się jednak całkowicie, gdy ten wykonał zwrot. Nie był w stanie skoordynować ruchów, aby odpalić kolejny silnik i skierować się w górę. Usłyszał głos kapitana, lecz przez chwilę, która wydawała się wiecznością, nie potrafił wydusić z siebie głosu. W końcu udało mu się wcisnąć odpowiedni przycisk na panelu pod ręką. Przytrzymał go jednak za długo, i zamiast skierować się w górę, zaczął wirować wokół własnej osi, a gdy puścił przycisk, siła pędu nie skierowała go w stronę górnej części burty, lecz wprost na Saturna.

– Jacobson?! Jest pan tam?! Wszystko z panem w porządku? – krzyczał Mark. Zaczął zawracać, aby zobaczyć, co się dzieje z naukowcem. Miał jeszcze cichą nadzieję, że może to tylko chwilowa awaria interkomu w skafandrze. Gdy jednak wykonał pełny zwrot, pozbył się złudzeń; astrogeolog wirując leciał w stronę Saturna. Omal nie dostał zawału na ten widok. Nie tracąc ani chwili, ruszył pełną mocą silników w stronę dryfującego Jacobsona.

– Kapitanie...! Chyba potrzebuję pomocy... – Mark usłyszał rzęzący głos naukowca. „Nie stracił przytomności, tyle dobrze” – pomyślał Mark.

– Trzymaj się Jim. Już lecę – powiedział kierując się wprost do wirującego Jacobsona, który wciąż zmierzał na spotkanie Saturna. Przez jeden krytyczny moment przypomniał mu się widok Cervantesa, spadającego bezwładnie w stronę Ceres. Opanował się jednak i nie pozwolił, aby i jemu udzieliła się panika. Nie mógł sobie na to pozwolić. Tym razem nie straci człowieka, nie ma mowy...

– Jacobson! – wrzasnął w nadziei, że astrogeolog nadal jest przytomny. – Niech pan ustabilizuje oddech. Inaczej straci pan przytomność!

– Jestem... – usłyszał zduszony głos naukowca.

– Niech pan spróbuje pociągnąć dźwignię steru do siebie! To ustabilizuje rotacje... Jim! Jesteś tam? Musisz to zrobić, żebym mógł cię złapać!

– Postaram się – zdołał odpowiedzieć Jacobson, jednak nie miał pojęcia, jak ma tego dokonać. Wirujący mu przed oczyma Saturn na przemian ze statkiem nie pomagały w skupieniu się. Całą siłą woli powstrzymywał się, żeby nie zemdleć. Z drugiej strony musiał walczyć z panicznym strachem, który paraliżował każdą próbę ruchu. Wiedział jednak, że kapitan po niego leci, słyszał jego opanowany głos i to ostatecznie dodało mu pewności. Zdał sobie sprawę, że za wszelką cenę musi zacząć działać. Zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów – pomogło. W głowie utkwiała mu tylko jedna myśl; albo dokona tego, co polecił mu kapitan, albo niechybnie zginie. Niezwykłym wysiłkiem zmusił się, aby pociągnąć dźwignię steru. Udało się, odpalił odpowiedni silnik, rotacja zaczęła spowalniać. To dodało mu otuchy i trochę uspokoiło.

– Świetnie! Przytrzymaj chwilę i puść, kiedy powiem, a potem pchnij ster w drugą stronę, ale nie za mocno – usłyszał w słuchawce hełmu głos kapitana. Jacobson tym razem szybciej i sprawniej wykonał polecenia. Wreszcie przestał wirować i gdy zobaczył sylwetkę kapitana, lecącego w jego

kierunku, pchnął dźwignię do przodu, wedle instrukcji. Tym sposobem zmierzał w stronę kapitana i statku. Po kilkunastu sekundach kapitan doleciał do niego i złapał kurczowo. Nie było to łatwe, gdyż jedną ręką musiał sterować. Przez chwilę wspólnie zmierzali w stronę Saturna. Po chwili jednak Mark wymanewrował tak, że obrócili się w stronę statku.

– Przepraszam Jacobson. Powinienem być bardziej na pana uważać. Zagapiłem się – powiedział kapitan, gdy ruszyli w stronę miejsca docelowego.

– To ja przepraszam, kapitanie. Mogłem powiedzieć prawdę, że to mój pierwszy spacer w kosmosie.

– Hmm... To by wiele wyjaśniało – odparł Mark, jednak nie był zły na naukowca. Doceniał to, że chciał być dzielny i tym samym pomóc w zadaniu, jakie mieli do wykonania.

Jacobson po paru chwilach poczuł się raźniej, a to przywróciło mu zdolność działania. Mark domyślał się jednak, że to może być chwilowe i postanowił, że „doholuje” go na miejsce. Pod koniec lotu musiał go jednak puścić, tak, aby astrogeolog mógł sam złapać się uchwyty w burcie umieszczonego tuż przy włazie awaryjnym. Jego obawy okazały się jednak zbyt pochopne; Jacobson pewnie złapał za

uchwyt i poczuł się dużo lepiej. To było znacznie lepsze od karuzeli w pustej przestrzeni.

Operacja wejścia na pokład statku nie należała do skomplikowanych; wystarczyło podnieść panel i przełożyć wajchę, która się pod nim znajdowała. System hydrauliczny podobny do tego umieszczonego w drzwiach schronu, otwierał wtedy właz awaryjny. Uznał, że nie powinno być z tym problemu. Gdy jednak szarpnął za uchwyt, na jego twarzy odmalowała się mieszanka frustracji i niecierpliwości; wajcha ani drgnęła. Szarpnął po raz drugi, tym razem mocniej. Nadal nic. „Przecież to prosty mechanizm” – pomyślał. Co tu się może zepsuć? Przypomniała mu się rozmowa z McLoydem, jeszcze przed wylotem, na temat konstrukcji statku i jego funkcjonalności. Jako kapitan chciał wiedzieć, czy Uranos jest aż tak solidny i niezawodny, jak go opisywano. Inżynier opowiedział mu wszystko ze szczegółami. Jego słowa potwierdziły dobre opinie o statku, nie zapomniał jednak wspomnieć o dodatkowych zabezpieczeniach, w których skład wchodził Hydrauliczny Mechanizm Awaryjnego Włazu Modułu Dokowego (Mark pomyślał, że nazwa jest chyba bardziej skomplikowana od samego systemu). Mechanizm istotnie nie był zbyt skomplikowany – ot prosta przekładnia hydrauliczna. Rzecz w tym, że konstruktorzy, w

przeciwieństwie do innych mechanizmów statku, nie przykładali wagi do solidności tego zabezpieczenia, gdyż pokładali ufność w niezawodności sztucznej inteligencji, która miała sterować statkiem. Ręczny mechanizm znalazł się tam tylko przez upór starej daty inżynierów, w tym McLoyda, o czym nie omieszkiał wspomnieć. To oni, najstarsi w składzie projektowym Uranosa, mimo zapewnień o funkcjonalności najnowocześniejszego, superinteligentnego sytemu operacyjnego, woleli pozostać sceptyczni i przezornie umieścić staroświecki, ręczny system awaryjny, lekceważony przez młodszych kolegów. Wtedy ani jedni, ani drudzy nie przypuszczali, że taki szczegół zadecyduje o losach ludzkości. Jednak solidność jego wykonania pozostawiała wiele do życzenia, co też najwidoczniej zemściło się w najmniej odpowiedniej chwili.”

**

Widok zmian na Ziemi z perspektywy orbity był bardzo niepokojący, lecz miał się nijak do tego, co ujrzeli zbliżając się do powierzchni planety. Każdy na mostku miał świadomość, że takie zmiany w obrazie Ziemi musiały wywołać niewyobrażalne skutki dla wszystkiego, co żyje na planecie.

Ale to, co ujrzeli teraz, kilka kilometrów nad powierzchnią, przechodziło ludzkie pojęcie. Dantejskie sceny wprawiły załogę w osłupienie, które z czasem przerodziło się w przerażenie. Nikt nie był w stanie myśleć o czymś innym niż ogrom dramatu jaki się tu rozegrał.

Po wejściu w atmosferę, Nishio obniżył pułap, tak, że na wysokości Alaski lecieli już tylko dwa kilometry nad ziemią. Następnie pierwszy oficer skierował Uranosa na południowy zachód, wzdłuż Kanady i Stanów Zjednoczonych, nad Atlantyk. Widok, jaki ujrzeli był przerażający – olbrzymie pogorzelniska ciągnące się setki kilometrów; wulkany, których wcześniej nie było; tereny zasnułe gęstą kotarą dymu przez dziesiątki kilometrów. Gdzieś tam przez kłęby przebijały się skrawki lądu niedotkniętego kataklizmem, lecz były to bardzo niewielkie obszary. Nishio użył kamer dalekiego zasięgu, dzięki czemu mogli w szczegółach obserwować dramat, jaki rozgrywał się na powierzchni. Stada zwierząt uciekały w panice przed ogniem. Niektóre biegały chaotycznie, wyczuwając zbyt blisko niebezpieczeństwo. Nie mając dokąd uciec, galopowały na oślep wpadając na siebie lub prosto w ogień, po czym wyskakiwały z niego płonąć, oszalałe z bólu i przerażenia. Ptaki nie mogły określić kursu przez pożar i

anomalie magnetyczne, latały w kółko aż końcu rozbijały o ziemię zaduszone dymem.

Kochająca zwierzęta Lena na ten widok zakrywała twarz rękami. Inni patrzyli tępo z szeroko otwartymi oczami nie mogąc uwierzyć w to, co widzą.

Jednak prawdziwy dramat ujrzeni, gdy statek dotarł nad pierwsze miasto, które nie zostało doszczętnie zniszczone przez pożary, trzęsienia ziemi czy powódzie.

Był to Boston.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy był brak nabrzeża. W miejscu, gdzie powinno znajdować się morze, był jedynie uskok i pusta piaszczysta płaszczyna z resztkami morskich roślin. Samo miasto wyglądało prawie normalnie, ale panował w nim totalny chaos – mieszkańcy biegali w różnych kierunkach, próbując uciec z miasta. Jedni organizowali się w grupy, inni próbowali ucieczki na własną rękę. Gdzieniedzie grupki chuliganów plądrowały wystawy i magazyny sklepowe. Samochody stały porzucone i bezużyteczne. Nishio przeanalizował odczyty z detektorów i uświadomił im, dlaczego tak się stało; wszelkie urządzenia elektryczne na całej planecie przestały działać po tym, jak potężny impuls cząstek neutrino, pochodzący ze Słońca, zdestabilizował bieguny magnetyczne Ziemi, jak również wszelkie urządzenia

posiadające obwody elektryczne. Milczała telewizja, radio, komputery, telefony. Jak się wkrótce okazało, to miasto było jednym z niewielu miejsc na świecie, z którego ludzie w ogóle uszli z życiem.

Mark schował ręce w dłoniach. Od jakiegoś czasu myślał tylko o jednym; gdzieś tam, prawie dwa tysiące kilometrów na południe, w Orlando na Florydzie była jego córka. A przynajmniej miał nadzieję, że wciąż tam jest. Starał się o tym nie myśleć. Na samą myśl, że jego ukochana córeczka, jego mała Rose, znajduje się w tym koszmarze, robiło mu się słabo. Kilka miesięcy wcześniej skończyła szesnaście lat, ale dla niego cały czas była malutką córeczką. Pamiętał jej piąte urodziny, jakby to było wczoraj. Przed oczami stanęła mu Kiriko niosąca tort, i Rose ciesząca się i skacząca, pytając ojca, czy pomoże jej zdmuchnąć świeczki. Na siłę odepchnął od siebie te wspomnienia. Tłumaczył sobie, że nie jest tak źle, że wielu ludzi przecież przeżyło. Ale logika podpowiadała mu, że Orlando mogło równie dobrze zniknąć z powierzchni Ziemi. Mimo to, nie chciał tej myśli dopuścić do siebie. Ogarnęło go histeryczne pragnienie, żeby wydać rozkaz Nishio – zmienić kurs i lecieć na Florydę. Zdał sobie sprawę, że to całkowicie nierealne. Czas ich gonił, a nawet z najnowocześniejszymi urządzeniami detekcyjnymi Uranosa

znalezienie Rose zajęłoby kilka godzin. Nie mógł się kierować prywatnym interesem, nawet jeśli chodziło o życie jego córki. W jego rękach było teraz miliardy ludzkich istnień. Z ciężkim sercem odrzucił myśl o poszukiwaniach. Pomyślał o reszcie załogi. Każdy miał kogoś bliskiego, kogo zostawił na Ziemi. Jednak nikt się nie odezwał, nikt nie błagał o zmianę kursu. W niemym przygnębieniu skupieni byli na celu podróży – na ocaleniu wszystkich ludzi, a nie tylko swoich bliskich. To, liczyło się przede wszystkim. Szczerze wątpił, że na pokładzie była choć jednak osoba, która od momentu wejścia Uranosa w atmosferę Ziemi nie pomyślała o kimś bliskim, lecz nikt tego nie okazał.

Znad wschodniego wybrzeża Stanów Uranos wleciał w obszar, który powinien być Atlantykiem, ale przez dłuższy czas widzieli jedynie pustynię. W pewnym momencie dotarli do miejsca, w którym dawne dno morskie rozdzierał wielki kanion. Według wyliczeń Nishio, był on efektem potężnego trzęsienia ziemi. Jego jedna krawędź wystawała wyżej, co było efektem przemieszczenia płyt tektonicznych. W wyniku trzęsienia powstało olbrzymie tsunami, które wypchnęło wody Atlantyku na wschód. Sam ocean pojawił się dopiero kilkaset kilometrów od pierwotnego brzegu. Wody były wzburzone i

niespokojne. To jednak był dopiero początek dramatycznego spektaklu, jaki rozgrywał się na Oceanie Atlantyckim.

Wkrótce wlecieli w potworny sztorm, jakiego nikt z załogi jeszcze nie widział. Burza, która rozpętała się nad oceanem, była niewyobrażalna. Fale dochodziły do stu metrów wysokości, a wśród nich szalała niezliczona ilość tornad, pomiędzy których strzelały pajęczyny błyskawic.

Na pokładzie panowała pełna napięcia cisza, jak podczas spektaklu w teatrze, gdy rozgrywają się wyjątkowo dramatyczne sceny. Tyle, że ten spektakl odbywał się na żywo. Mimo rozmiarów i solidności kadłuba Uranosa, mieli obawy, czy ta gigantyczna burza nie strąci ich do oceanu. Skala i moc sztormu była tak potężna, że Nishio musiał ponownie włączyć osłonę. Chciał wyprowadzić statek ponad chmury, jednak burza była tak silna, że musieliby wzlecieć aż do stratosfery, co pochłonęłoby zbyt wiele czasu i mocy kryształu.

Wreszcie po godzinie burza ucichła a gęste chmury odsłoniły niebo. Wtedy uderzył ich kolejny widok. Niebo nie było błękitne, jak się spodziewali; miało stalowy, niezdrowy kolor. Do tej pory lecieli prawie cały czas pod chmurami. Teraz ujrzeli nowe oblicze nieba w pełnej okazałości. Najbardziej niepokojący był widok Słońca; nie było białe, lecz

mocno pomarańczowe. Sprawiało wrażenie, jakby miało zgasnąć.”

**

„Mark wstał i spojrział na wnętrze sarkofagu. Po raz kolejny nasunęło mu się skojarzenie z trumną. Wiedział, co się stanie, gdy się w nim położy – nie będzie odwrotu. Ale było to jedyne wyjście, dobrze o tym wiedział. Nie tracąc czasu, zrzucił szybko uniform pokładowy. Wszedł do środka i ułożył się na powierzchni, która dopasowała się do jego ciała niczym forma. Głowę ułożył w czymś, co przypominało kokon. Jego wnętrze pokryte było siatką w kształcie plastra miodu. Maleńkie sześciokąty miały w środku czarne punkty, które w rzeczywistości były neuroprzekaźnikami. Gdy tylko głowa zetknęła się z powierzchnią kokonu, wieko zasunęło się, inicjując tym samym sprzężenie. Poczuł ukłucia na przedramionach, po czym całe ciało ogarnęło mrowienie. „Zastrzyki usypiające” – pomyślał. Jego świadomość powoli odpływała, pozbawiając go kontaktu z rzeczywistością. Zapadł w niezwykle realny sen i zaczął śnić.

Świadomość powróciła, lecz już w innym wymiarze. Znalazł się w miejscu wypełnionym jasnozieloną mgłą. Unosił

się w pustej przestrzeni. Nie czuł ciężenia, podobnie jak podczas braku grawitacji. Przynajmniej to uczucie nie było mu obce. Wyciągnął ręce przed siebie i zaczął uważnie oglądać dłonie. Ze zdumieniem stwierdził, że wyglądają całkiem realnie. W następnej chwili pojawił się przed nim oktaedr. Przypominał ten wygenerowany przez panel w maszynowni Uranosa, ale tu ilość szczegółów była nieporównanie większa. Widział wszystkie pomieszczenia i to, co się w nich dzieje, a także kryształowy rdzeń biegnący przez środek całej struktury. Sięgnął ręką i wykonał gest, jakby chciał złapać i przysunąć obraz do siebie. Nie zastanawiał się przy tym, jak ma to zrobić, po prostu to wiedział. Efekt był natychmiastowy – wszystko stało się większe, ukazując tym samym większą ilość detali. Brakowało opisów objaśniających, ale Mark stwierdził, że wszystko doskonale wie. Widział na czerwono zaznaczone postacie ludzi znajdujące się w Komnacie Tronowej – to musiała być teleportowana załoga.”

**

„Ptah był absolutnie niesamowity pod każdym względem. Musiał przyznać, że okręt był równie piękny w środku, co na zewnątrz i równie oszczędny w detalach.

Przypominał wręcz galerię sztuki nowoczesnej. Mostek nie posiadał przy tym żadnej aparatury. Nie było nawet paneli sterujących przy fotelach. Mark doszedł do wniosku, że tutaj wszystko musi być sterowane głosem. Ściany i sufit nie posiadały punktów styčných, dzięki czemu zlewały się w jedno, niczym specyficzny tunel. Elementy wykończenia przypominały stylem architektonicznym ten z obydwu oktaedrów, jednak tutaj było zdecydowanie mniej ostrych kątów, dzięki czemu płaszczyzny stykały się płynnie. Wykonane były z malachitowego kryształu, który pulsował ospale. Dawało to wrażenie, jakby okręt żył własnym życiem. Tunel, jaki tworzyły ściany i sufit na mostku, opadał w dół w przedniej części, tworząc tym samym ekran trójwymiarowy, dający idealne złudzenie rzeczywistości. „Jakże wspaniała musi być kultura rasy, która potrafi stworzyć coś tak pięknego” – pomyślał Mark.

Na środku mostku znajdowało się pięć foteli; cztery po bokach i piąty – największy i najokazalszy – w centrum, który wyglądał jak pomniejszona kopia tronu z Komnaty Tronowej oktaedru Gizy. Mark uznał, że musi należeć do kapitana; usiadł ostrożnie. Wyglądał na wykonany z ciemnego granitu i miał obawy o swoje plecy, ale stwierdził ze zdumieniem, że fotel jest niezwykle miękki i wygodny. Reszta załogi postanowiła

pójść za przykładem kapitana. Olga i Katrina zajęły miejsca z przodu, gdzie powinni siedzieć piloci. Mark wiedział, że na tym okręcie ta funkcja będzie całkowicie zbędna. Z tyłu po lewej od kapitana usiadła Lena, a miejsce po prawej, które, jak sądził Mark, powinno należeć do pierwszego oficera, zajął McLoyd. Jedyne zdezorientowany, nadal oszołomiony młodzieniec nie wiedział, co ma począć i stał niepewnie w tylnej części pomieszczenia.”

**

„Na przedmieściach Orlando, w niegdyś pięknej dzielnicy Pine Hills, stał średniej wielkości parterowy domek jednorodzinny. Był jednym z niewielu ocalałych zabudowań po pożarze, jaki wybuchł tuż po potężnym trzęsieniu ziemi, które nawiedziło tę okolicę kilka godzin wcześniej. Teraz główną szosą płynął strumień, który przygasił ogień. Powstał po tym, jak wylało pobliskie jezioro Apopka. Ulice były puste, nie licząc grupek szabrowników. Ci, nie zważając na tragedię, plądrowali okoliczne domy i sklepy. Zachodzące Słońce spowiło okolicę czerwoną poświatą. Pojedyncze pożary i zgliszcza zabudowań tworzyły upiorny krajobraz. Mieszkańcy byli przerażeni i zdezorientowani, nie wiedzieli jednak, jak

wiele szczęścia mieli. Szczęścia, którego zabrakło ludności obu Ameryk nad wybrzeżem Pacyfiku, nad zachodnimi wybrzeżami Europy i Afryki, gdzie miejscowości nadbrzeżne zostały całkowicie zalane przez gigantyczne fale oceanów; całe miasta zniknęły z powierzchni ziemi.

Trzy kobiety ukrywające się w domku, były wystraszone, wyczerpane i głodne. Minęło osiem godzin, odkąd trwał ten koszmar. Tragedia przyszła bez ostrzeżenia. Żadna z nich nie rozumiała co się dzieje. Bardziej niż trzęsieniem ziemi, pożarem i powodzią, przerażone były tym, co podczas kataklizmu widziały na niebie; Słońce, które w ciągu kilkunastu minut stało się niemal czerwone, kreśliło na niebie zygzaki, zamiast płynąć w linii. Było to wynikiem zaniku pola magnetycznego planety i jej „chybotania”, jednak tak upiorne zjawisko sprawiło, iż wielu spośród tych, którzy przeżyli kataklizm, postradało zmysły. Nikt nie miał wątpliwości, że Ziemię nawiedził koniec świata. Niekiedy słychać było histeryczne krzyki o tym, że bramy piekieł zostały otwarte...

Kobiety ukryte w ocalałym domu różnie reagowały na to, co działo się za oknami. Były w różnym wieku, ale największą opoką była najmłodsza z nich, dopiero siedemnastoletnia, ale mimo to niezwykle silna emocjonalnie. Ani na chwilę nie

straciła wiary, że wreszcie przyjdzie pomoc, a kataklizm minie. Swoją wiarą i nadzieją zaraziła dwie pozostałe – jedna z nich była jej o dwa lata starszą koleżanką, a druga jej matką i to do niej należał dom. Na imię miała Rose.”

**

„Siedziała przy oknie, patrząc w niebo. Jakiś czas temu odzyskało swój właściwy kolor, dając nadzieję, że wszystko wróci do normy. Prądu nie było w całym mieście, więc nie oglądały telewizji ani nie słuchały radia. Nie wiedziały, co się dzieje na świecie, czy sytuacja ulega poprawie. Nie działały nawet – co było w tym wszystkim najdziwniejsze – sprzęty na baterie, a nawet auta. Mogły jedyne czekać, aż coś się zmieni i nadejdzie pomoc.

W pewnej chwili zobaczyła na niebie od strony wschodniej dziwny cień. Nie mógł być chmurą, gdyż rósł zbyt szybko. Zawołała towarzyszkę. Wspólnie patrzyły z niepokojem na to kolejne tajemnicze zjawisko. Po niespełna dwóch minutach dało się rozróżnić kształty obiektu. Mógł to być rodzaj samolotu lub sterowca. Nigdy jednak nie widziały czegoś tak wielkiego na niebie. Gdy znalazł się nad ich

dzielnicą, zwoleńił do zera i zawisł w powietrzu, co świadczyło o tym, że obiekt z pewnością nie był samolotem. Jego cień zakrył znaczną część dzielnicy. Teraz mogły ocenić jego ogrom. Musiał mieć przynajmniej z kilometr długości. Rose przysła do głowy przerażająca myśl, że to może być statek obcych. Obcych którzy są odpowiedzialni za katastrofę która nawiedziła Ziemię. Nie podzieliła się tą myślą z towarzyszkami, nie chcąc ich bardziej straszyć. Mogłaby przysiąc, że obiekt znajduje się dokładnie nad jej domem, około pięciuset metrów od miejsca, w którym się znajdowały. A raczej nad tym, co z niego zostało po pożarze.”